

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.  
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.  
1/2 " -- 40 "  
1/4 " -- 20 "  
1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

*Tradycyjnym zwyczajem zasyłamy wszystkim czytelnikom, współpracownikom i przyjaciółom naszego pisma serdeczne życzenia świąteczne i noworoczne.*

## Choroba wieku.

W chwili gdy to piszemy—nie są jeszcze znane ostateczne rezultaty zamachu stanu w Kownie. Według ostatnich wiadomości jednakże do krwawej walki bratobójczej nie doszło i nowy rząd Waldemarasa i Smetony opanował sytuację.

Prasa polska poświęca bardzo wiele miejsca wypadkom kowieńskim, oceniając je wyłącznie pod kątem widzenia interesów polskich. Jaki kierunek będzie miała polityka zagraniczna nowego rządu oraz jak się odbije ta zmiana na położeniu ludności polskiej w państwie litewskim? Sam fakt zamachu większego wrażenia nie wywołał, gdyż współczesne życie polityczne oswoiło już z podobnymi przewrotami, które zapoczątkował Mussolini, znajdując raz po raz chętnych naśladowców w rozmaitych krajach Europy.

Oczywiście zbrojne zamachy stanu nie są nowością powojenną. Zdarzały się one i dawniej: wystarczy przypomnieć 18 brumaire'a i 2 grudnia 1851 r., w Ameryce Południowej zaś *pronunciamento* były i są na porządku dziennym. Dawniej wszakże tego rodzaju przewroty były związane zwykle z jakąś niepowседневną indywidualnością, która nie mieszcząc się w ramach normalnego ustroju i nie znajdując odpowiedniego pola dla swych zdolności lub ambicji, tą drogą stwarzała sobie ujście dla swej energii. Wyjątkowe jednostki stosowały wyjątkowe metody działania. Genjalność Napoleona usprawiedliwiała poniekąd popełnianie przezeń bezprawia.

Dziś środek wyjątkowy całkiem spowszedniał

i gwałt fizyczny zastępuje z reguły walkę ideową i przekonaniową. Już nie wybujałe indywidualności, lecz całe grupy polityczne, stronnictwa czują się uprawnione do łamania konstytucji i ustroju, będącego wyrazem woli ludności. Wszelkie poczucie praworządności zanika. Tam lewica, tu prawica, gdy na arenie parlamentarnej nie może osiągnąć sukcesów, dochodzi do władzy *manu militari*, zastępując niedość przekonywujące argumenty rozumowe lub uczuciowe bardziej skutecznym granatem ręcznym i bagnetem.

Stare demokracje, przechowujące tradycje walk o wolność, zdobywania Bastylji i barykad ulicznych mogą bez wielkiej szkody znosić czasowe pogwałcenie podstawowych zasad reprezentacyjnego ustroju. Panowanie reakcji lub dyktatura jednostki wywołują w społeczeństwach dojrzałych i kulturalnych tem większą tęsknotę do lekkomyślnie utraconych swobód konstytucyjnych, a dewiza „wola ludu jest najwyższym prawem“ zbyt głęboko jest zakorzeniona w świadomości ogółu, by dłuższe nawet okresy psychicznych zaburzeń mogły wywołać zgubną depresję duchową i ostateczny zamęt pojęciowy.

W młodych jednakże państwach, zaledwie wznoszących fundamenty swego bytu niepodległego, borykających się z wszelkiego rodzaju trudnościami, ustalających dopiero drogi swego rozwoju, operujących materiałem ludzkim kruchym i surowym—eksperymenty zamachowe są rzeczą wysoce niebezpieczną a zawsze mocno szkodliwą. Nawet w razie łatwego powodzenia sukces osiągnięty nie zrównoważy nigdy tej szkody, jaką podważenie zasady praworządności wyrządza etyce społecznej. Zamach stanu, podjęty nawet w imię najwznioślejszych celów patriotycznych, demoralizuje głęboko przeciętnego mieszkańca, który przestał już być niewolnikiem obcego jarzma a nie stał się jeszcze świadomym swych praw i obowiązków obywatelem. Jeszcze nie otrząsnął się on z nałogów niewolniczych, jeszcze jego psychika przesią-



knęta jest tak długo i starannie pielęgnowanym w nim kultem siły, a oto znów staje się on biernym świadkiem, objektem lub czynnym uczestnikiem brutalnej przemocy. Kielkujące w nim dopiero poczucie obywatelskie zostaje zagłuszone. A czyż może państwo rozwijać się normalnie bez uświadomionych obywateli?

Jeszcze gorzej sprawa się przedstawia, jeżeli przewrót nie odbywa się gładko i napotyka na zacięty opór. Wojna domowa nie mija bez śladu. Zwyciężeni przechowują głęboko w sercu pamięć porażki i z upragnieniem oczekują chwili odwetu i zemsty. Zamiast więc konsolidacji młody ustrój państwa ulega wstrząszeniom i państwo nie jest zdolne do wykonywania wszystkich rozległych swych zadań.

Jakikolwiek więc będzie wynik zamachu stanu, zorganizowanego w Kownie przez czynniki wojskowe i faszystowskie, republika litewska wyjdzie z tego przesilenia nie wzmocniona, lecz osłabiona. Sukcesy, jakie osiągnął Mussolini we Włoszech lub Piłsudski w Polsce są pozorne i nietrwałe. Mocna władza jest niewątpliwie czynnikiem państwowym niezmiernie dodatnim, ale wtedy tylko, gdy jest otoczona powszechnym szacunkiem i zaufaniem, a nie opiera się jedynie o siłę zbrojną. Mimo wszystkich braków i niedomagań demokracji i parlamentaryzmu nic mądrzejszego ani lepszego ludzie dotąd nie wymyślili i najszczęśliwsze są te narody, które na pierwszym planie stawiają poszanowanie prawa i kultywują w sobie ducha demokracji.

Wszelkie zaś dyktatorskie próby, jak uczy historia, kończą się katastrofą. Wielką odpowiedzialność wobec narodu wzięli na siebie politycy litewscy wkraczając na drogę faszyzmu.

## O mniejszość rosyjską.

Artykuł poniższy, pióra znanego w Wilnie publicyście i działacza rosyjskiego porusza zagadnienie niewątpliwie doniosłe i traktowane na ogół bardzo powierzchownie. Nie jest ono dostatecznie pogłębione i w artykule p. Bochana. Autor nie rozróżnia dwóch kategorii: *czasowej emigracji* rosyjskiej w Polsce i drobnego, ale niewątpliwie istniejącego na ziemiach litewsko białoruskich odłamu narodowościowego rosyjskiego, który tu posiada wszystkie cechy ludności osiadłej i stałej, a więc tem samem i prawa obywatelstwa krajowego. To też traktujemy artykuł p. Bochana tylko jako wstęp do dyskusji na temat, dotąd w naszym piśmie nie poruszany.

Minęły już bezpowrotnie bodaj czasy, kiedy nie tylko rząd, ale i pewien odłam społeczeństwa rosyjskiego uważały „zapadno-ruskija okrainy” za rdzenie rosyjskie terytorjum, które czasowo tylko oderwane jest od Rosji i którego ludność tylko czeka na „wozsojedinienie”. Karta historii odwróciła się — potężna Rosja już dziewiąty rok leży złożona ciężką niemocą, rozczłonkowana zaś Rzeczpospolita Polska znów zjednoczyła się i od szeregu lat zajmuje należne sobie miejsce w koncercie mocarstw europejskich. Niema cesarskiej Rosji, niema byłego wszechpotęż-

nego rządu carskiego, na którego miejscu utwierdził się rząd, jakiego nie daj Boże mieć nikomu — i rola oraz znaczenie żywiołu rosyjskiego i polskiego w najważniejszych granicach państwa polskiego zmieniły się zasadniczo: obecnie mniejszością, która, jak może, walczy o swe prawa, nie są Polacy, lecz Rosjanie.

Ilu ich jest, co oni robią, jak żyją? O tem nikt nie wie i nikt wiedzieć nie chce. Ze wzmianek w pewnej gazecie polskiej: „z życia rosyjskiego, czy z życia prawosławnego” społeczeństwo polskie dowiaduje się, że Rosjanie marzą o powrocie dawnych czasów albo knują jakąś zdradę i nie rezygnują ze swych usiłowań, żeby nawrócić jak najwięcej Polaków-katolików na prawosławie. W rzeczywistości jest zupełnie co innego. W tych dniach poznałem pewnego Rosjanina, emigranta, który, na moje zapytanie co robi i z czego żyje; odrzekł mi z gorzkim uśmiechem: — „Co robię? Jestem Rosjaninem!” — I nic więcej! Rosjanin — to znaczy człowiek przymierający z głodu, który niema pracy i nie może jej znaleźć, bo nie posiada języka państwowego; nie pobiera zapomogi z funduszu dla bezrobotnych, bo jest niewłaściwego wyznania i nieprzyzwoitej narodowości.

Pisząc te słowa, wcale nie chcę obrazić tych tolerancyjnych i kulturalnych przedstawicieli społeczeństwa polskiego, którzy rozumiejąc, że resztki inteligencji rosyjskiej, które pozostały w granicach państwa polskiego i marzą tylko o kawałku chleba, nie mogą być odpowiedzialne za Murawjewych, Hurków i Apuchtynych. Oni rozumieją, że z rządem rosyjskim w stosunku do Polaków w swoim czasie solidaryzowała się tylko bardzo mała częśćka inteligencji — jej odłami „czernosotiennyj”, — a reszta z przywódcami swymi od Hercena do Michajłowskiego i Plechanowa, narówni z Polakami i in. „inorodcami” odsiadywała więzienia i była objektem przeróżnych eksperymentów administracyjnych. Ale osób, tak myślących, wśród Polaków mało. Nie tylko prawica polska, ale i lewicowy odłam społeczeństwa zapatrują się na sprawę zupełnie inaczej. „Pierwiej wy gnębiliście nas — teraz przyszła kolej na nas”. Tak myślą i — stosownie do tego postępują. Przecież spotykaliśmy w prasie polskiej całe artykuły, że tam i tam (zdaje się w Słonimie) służy inżynier-Rosjanin, którego trzeba jak najprędzej zwolnić; że u nas w Wilnie naprzeciwko dworca usadowił się jakiś Rosjanin, który czyści buty, i którego czysto rosyjskie oblicze wywiera fatalne wrażenie na przyjeżdżających do naszego miasta; wszyscy pamiętamy dobrze, jak prasa polska szkalowała b. prezesa dykcji wileńskiej p. Landsberga, za to, że dał posady na kolei tyłu to a tyłu Rosjanom i t. d. Nikt nie chce wspomnieć tego, że mimo ucisku i ogólnej antypolskiej polityki b. rządu carskiego, iluż to Polaków zajmowało w Rosji bardzo wybitne posady i stanowiska. Ilu lekarzy, adwokatów, inżynierów, urzędników i wojskowych pracowało i miało chleb i pełny dostatek. Ograniczenia istniały dla Polaków w kraju zachodnim, ale w całej Rosji nie było żadnych. Nawet w Wilnie mógł stać na czele wojsk całego okręgu wileńskiego Polak — generał Hurczyn! Ale o wiele ważniejszym jest stosunek do Polaków ludności rosyjskiej wogóle a inteligencji w szczególności: był on na ogół bezwarunkowo przychylny dla gnębionych. Pisać o tem obszerniej nie warto w krótkim artykule — fakt powyższy jest stwierdzony przez historję i nie potrzebuje ani udowodnień, ani komentarzy.

Ale jak rzekłem, karta historii odwróciła się — i cóż widzimy? Ta sama inteligencja rosyjska, która



tak broniła Polaków—stanowi dziś mniejszość, zaledwie tolerowaną. Jeżeli Żydów można nazwać obywatelami drugiej klasy, to Rosjan w państwie polskim — obywatelami klasy trzeciej. Jest to mniejszość, która nie jest uznana nawet za istniejącą. Rosjan tutaj niema—jest to jeden z bardzo dowcipnych postulatów wszystkich dotychczasowych rządów polskich od 1918 roku. Poniekąd winni są temu sami Rosjanie: walka o kawałek chleba nie dawała im dotychczas możliwości zorganizowania się i występowania w obronie swoich praw mniejszościowych. Ale zaszła rzecz jeszcze gorsza: wszędzie w państwie polskim, tak samo i w Wilnie, kilku wyrzutków społeczeństwa, (w Wilnie na 8 — 10 tysięcy Rosjan 5—6 osób)—zaczęło grać rolę agentów prowokatorów, którzy starali się „informować” odpowiednie instancje o życiu i działalności Rosjan w taki sposób, że można tylko podziwiać łagodność i tolerancję władz polskich, które od razu nie zamknęły w więzieniu wszystkich Rosjan. Wystarczy wspomnieć usiłowania prowokatorów, by związać afetę znanego szpiega Ilinicza z działalnością T-wa Rosyjskiego w Wilnie, enuncjacje o litewskich aspiracjach zarządu tegoż T-wa w związku z wysłaniem z Wilna b. arcybiskupa Eleuterjusza; informacje prasowe na szpaltach pewnej gazety polskiej o negatywnym stosunku zarządu T-wa Ros. względem b. prezydenta Rzpltej p. Wojciechowskiego, chociaż sprawa stała zupełnie odwrotnie i t. d. Trudno nie przytoczyć zakończenia głośnej w swoim czasie sprawy o 10.000 lirów, ofiarowanych przez Stolicę Apostolską na ochronkę dla dzieci emigrantów Rosjan w Wilnie; ochronka istniała, sprawozdania były złożone gdzie trzeba, co jednak nie przeszkodziło wnieść skargę do prokuratora o „przywłaszczenie” tych pieniędzy przez członków zarządu T-wa Ros.; a kiedy władze sądowe, wskutek niedorzeczności oskarżenia, sprawę umorzyły—poszła hulać nowa plotka: stało się to na skutek interwencji Kurji Rzymskiej, która nie chciała rozgłosu w takiej brudnej sprawie.. Teraz sprawa ta już ucichła — ale to, co chciano osiągnąć — osiągnięto: reputacja T-wa Ros. została poważnie zachwiana, a liczba członków jego zmniejszyła się z 1200—1300 osób do 300—400.

Wogóle, ze wszystkich mniejszości u nas, Rosjanom powodzi się jaknajgorzej. Tylko w ostatnich czasach, dzięki niestrudzonej energii p. M. Sieriebrannikowa, w różnych ośrodkach, w tej liczbie i w Wilnie, zorganizowało się t zw. „Rosyjskie Zjednoczenie Narodowe”. W naszym mieście na czele jego stoi znana działaczka, b. prezeska T-wa Ros. Maryna Bielawska. Zjednoczenie stawia sobie jako cel wprowadzenie ludności rosyjskiej w naszym kraju, chociaż to brzmi trochę paradoksalnie,—w ramki mniejszości narodowych, coby dało jej możliwość korzystania ze wszystkich uprawnień, stworzonych przez różne organizacje i układy międzynarodowe dla mniejszości w różnych krajach.

Jak zwykle, w sprawach rosyjskich, znaczną przeszkodę w działalności „Zjednoczenia” jest brak środków materialnych; ale posiada ono tę dobrą stronę, że w niem już nie może być miejsca dla starych zdemaskowanych prowokatorów, a przy pewnej ostrożności nowych tam już nie dopuszczają.

Wreszcie ostatnia sprawa, najboleśniejza ze wszystkich, która męczy każdego Rosjanina w Polsce,—jest to sprawa religji. Piszącemu te słowa doskonale jest znany pogląd na tę sprawę sfer polskich i katolickich; autokefalia cerkwi prawosławnej w Polsce jest „uporządkowaniem” sprawy cerkwi, a każde

nowe nawrócenie czy to na katolicyzm łaciński, czy to na unję—jest to powrót błądzących na łono jedynego prawdziwego kościoła. Tu nie miejsce na wszczynanie dyskusji—jaki kościół jest prawdziwym Chrystusowym kościołem, ale ta pierwsza autokefalia cerkwi prawosławnej w Polsce przeprowadzona była w taki sposób i za pomocą takich środków, że nikt z prawosławnych nigdy nie uzna jej za kanoniczną. Wystarczy wspomnieć wysłanie z granic Rzeczypospolitej Polskiej czterech biskupów prawosławnych w ciągu dwóch miesięcy; konsekrację — absolutnie a jaskrawo nie kanoniczną—nowych biskupów (żeby stworzyć większość w Synodzie przychylną dla sprawy autokefalji); takie działania zabitego metropolity Jerzego—jak rozsyłanie odpisów „ukazu” patriarchy Tichona o mianowanie go metropolitą archidiecezji polskiej—niezgodnych ze sobą. (Odpis „ukazu”, który był przysłany do biskupa Włodzimierza w Grodnie, nie zgadzał się z odpisem „ukazu”, który otrzymał w Wilnie arcybiskup Eleuterjusz). Dla kanoniczności autokefalji niezbędna jest zgoda Cerkwi-macierzystej, ponieważ na odłączenie się patriarchy Tichona tej zgody nie dawał — doszło więc do podrobienia jego aktów.

Po drugie w takich kardynalnych sprawach decydować może nie 4—5 — wiadomo jakim sposobem dobranych biskupów, — lecz Sobór Cerkiewny, którego, rozumie się, jak ognia lękają się autokefaliści, bo nie mieli jeszcze czasu należycie urobić tego soboru, na wzór synodu, który zdecydował o autokefalji. Rozumie się, takie sprawy mogą tylko wielkim bólem napełnić serce każdego Rosjanina i każdego prawosławnego.

Inaczej stoi sprawa z Unją: z prawosławnego punktu widzenia wszystkie nawrócenia nie są powrotem na łono Kościoła Powszechnego, lecz uwolnieniem Cerkwi Prawosławnej z elementów słabych pod jakim bądź względem. Jeżeli katolicy nie mogą nie przyjmować tych, kto do nich przychodzi—to prawosławni (dotychczas przynajmniej) nie mają powodów żałować utraty tych neofitów, zresztą do cerkwi unickiej w Wilnie może stokroć więcej uczęszcza łacińskich katolików niż prawosławnych. Historia uczy nas, że duchowieństwo, przez zależność swoją, nieraz było elementem, bardziej podatnym do zmiany poglądów religijnych, lecz masa wiernych nie zawsze szła za niem i w tym wypadku umiała bronić się przeciwko...swoim duchownym! Tak było nieraz i tak jest teraz.

Na zakończenie pozwolę sobie wyrazić nadzieję, iż działalność „Zjednoczenia Rosyjskiego”, o którym mówiłem wyżej, osiągnie cel swój i spowoduje uznanie Rosjan za mniejszość narodową.

Doprawdy, czyż może być życzenie skromniejsze: zostać zamiast nicością—mniejszością?..

D. D. Bochan.

## Religja na usługach polityki.

Tygodnik przemyski „Ukraiński Hołos”, jeden z najciekawszych organów prasy ukraińskiej, w № 39 r. b. zamieścił źródłowy artykuł p. t. *Religja-polonizacja*. Opuszczając z niego to, co specjalnie dotyczy stosunków wewnętrznych w Galicji Wschodniej, podajemy poniżej to, co ma znaczenie ogólnejsze.

\*

Od czasu, gdy ziemie ukraińskie i białoruskie przeszły pod panowanie Polski, polityka polska nie



przestaje używać wszelkich sposobów, by przez Kościół lub Cerkiew lud tameczny doszczętnie spolonizować. Z uporem godnym lepszej sprawy, kroczy ona po drodze, która już raz była przyczyną upadku Polski historycznej, a i dziś—przenigdy! — lepszych wyników mieć nie będzie.

Gdy w roku 1918 zmartwychstało państwo polskie, politycy polscy poszli śladami swych przodków—od razu rozpoczęli walkę zawziętą z niepolskim charakterem ziem wschodnich. Co było tego przyczyną, to wyjaśnia poseł wszechpolski Prószyński w „Słowie Polskiem“, organie smutnej pamięci twórcy konkordatu polskiego St. Grabskiego w artykule „Religja na kresach“.

„Religja ma poważne znaczenie polityczne. Dla państwa czy dla narodu korzystną jest rzeczą mieć jedną religję. Gdy tę religję wyznaje dziś jedno tylko plemię—jest ona narodową, pomaga znacznie do utrzymania spójności narodu i przeciwdziała wpływom zewnętrznym, jakie również pochodzą ze źródeł religijnych. Przykładem klasycznym są żydzi.

Na tezę tę się godzą wszyscy politycy polscy, i wprowadzając w życie jedność religijną, używają różnych dróg. Jedni z nich, głównie wszechpolacy, chcą dojść do celu drogą najprostszą, t. j. narzucając wszystkim Ukraińcom i Białorusinom łacynizm. Pos. Prószyński pisze, że „jeśliby Ukraińcy byli łacinnikami, kwestja ukraińska nie istniałaby!“ Dlatego zaleca wszystkich greko-katolików i prawosławnych przeciągać wprost na łacynstwo. Co do greko-katolików, to ich trzeba tylko „odzyskać“, bo wszyscy (sic!) oni byli niegdyś łacinnikami, a tylko greko-katolicy księża przeciągnęli (sic!) ich na obrządek greko-katolicki. Względem zaś wiary prawosławnej p. Prószyński pisze w ten deseń: „Brak nam drugiego Piotra Skargi (sic!). Nie widać żadnej pracy, by wykorzystać upadek prawosławia, a próby jakiegoś „obrzędka wschodniego“, t. j. nowej unji, są oburzające (l). Prawosławnych wolno przeciągać tylko na katolicyzm rzymski. Robić z tego tajemnicę jest śmiesznem, a powodzenie może dać tylko śmiała masowa metoda Skargi“.

Oczom wierzyć się nie chce, gdy się czyta brednie podobne. Próba przedstawienia Skargi jako prototypu dzisiejszych endeków w sutannach, ma w sobie doprawdy coś ze świętokradzkiego targnięcia się na jedną z piękniejszych postaci w historii Polski. Jak się patrzy, wszechpolacy biorą się do roboty bez rękawiczek i oburzają się na tych, co kręcą i szukają jakiegoś mostka przez „wschodni obrządek“ (nową unję). Prószyński doradza sprawę postawić jasno. Co to znaczy — już wiemy.

Tak właśnie w swą opiekę biorą Ukraińców i Białorusinów polscy prawicowcy i chcą, by nikt im tu nie przeszkadzał. Wszechpolacy zaś mają „sławetny“ konkordat, niechże tedy robią swoje. Rozumują oni tak: uda się im—dobrze, a nie uda się—to i tak nic nie stracą. Zato lewicowi politycy biorą w swą kurtelę wyłączną prawosławnych Ukraińców i Białorusinów. Wynaleźli oni swój własny sposób na to, by ich spolonizować. W tym celu doradzają, by Polacy masowo stawali się prawosławnymi, biorąc w swe ręce Cerkiew prawosławną, która w najkrótszym czasie ma stać się całkowicie polską. Robota w tym kierunku już rozpoczęła się niedawno „genjalnem“ posunięciem ks. Huszny i Pietruszki, o którym gazety dostatecznie pisały. Wielkie poruszenie wywołał ich krok wśród polskiego duchowieństwa. Że obaj są takimiż nacjonalistami, jak ich oponenti księża

katolicy, widać ze słów ks. Huszny o swej sekcji: „Gdy tylko wejdą do niej Polacy nie w liczbie 30.000, a w liczbie 10.000.000, to ta Cerkiew będzie wtedy tak samo polską, jak dziś nazywamy ją „ruską“... Gdy w synodzie większość biskupów będą stanowili Polacy, to polski narodowy biskup może być obrany metropolitą polskiej wschodniej katolickiej Cerkwi...“ *Ambo meliores!*... Jednak ta enuncjacja ks. Huszny uspokoiła nieco polskie koła nacjonalistyczne, jak w rządzie, tak i w społeczeństwie, bo w obozie polskim zaległa pewna cisza. Wiadomo, — cel uświęca środki, a celem nacjonalistów jest polonizacja. Jaka droga się do niej dojdzie, to pytanie drugorzędne.

Tę dwoistość polityki nacjonalistów polskich względem greko-katolików i prawosławnych przejrzało też wychodzące w Warszawie, prawosławne „Woskresnoje Cztenije“, skoro pisze o wykorzystaniu Kościoła dla celów polonizacji [tak: „Zupełnie już bez wszelkich obłonek mówi się o tem w amerykańskiej polskiej prasie, gdzie uważają, że żenować się nie ma poco...“]. Tak oto wygląda w praktyce polityka kościelna i mniejszościowa „przedmurza chrześcijaństwa“ i „zawsze wiernej Polski“.

Tyle „Ukraińskij Hołos“. Niestety, wywodom jego nie można zarzucić ani przesady ani tendencyjności. Religja na usługach polityki stała się zjawiskiem powszedniem.

## Analiza rzeczywistości.

„Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyconeni“. (Mat. V. 6).

W Nr-ze 19-m „Przeglądu Wileńskiego“ ukazał się artykuł wstępny p. t. „Teorje i rzeczywistość“, w którym autor, zwalczając wszelki nacjonalizm, nie mógł jednak ukryć tego, iż sam jest nacjonalistą — może nie w tym stopniu — ale jest! Otóż artykułu tego nie podobna pominąć milczeniem.

Nie będziemy tu bronić ani „Sielanskiej Niwy“, ani „Białorusa-wunjata“, ani potępiać ustępu mowy p. Świaniewicza, ani kazania ks. unickiego Z. Szymkiewicza, którego w przedostatnim numerze „Przegl. Wil.“ stara się jeszcze listem do redakcji bronić K. B., ale przeprowadzimy analizę rzeczywistości: czy jest, czy naprawdę istnieje „nacjonalizm białoruski“, kto go stara się stworzyć, lub już go widzi, oraz jaki i czyj w naszym kraju panuje nacjonalizm prawdziwy?

A więc przedewszystkiem — co to jest nacjonalizm? — uprzytomnijmy sobie. Otóż: Nacjonalizm — 1), (pojmowanie francuskie)—jest to dążenie do wyłączności narodowej w granicach państwa; 2), (wedł. pojmov. angielskiego) — jest to dążenie do wyłączności w granicach, zamieszkałych przez autochtonów; 3), (ogólne) — jest to dążność do zasymilowania innych narodowości w tychże granicach.

Stąd wypływa pytanie: kto jest autochtonem w naszym kraju i czy faktycznie Białorusinów można nazwać autochtonami kraju w obecnych granicach etnograficznych? Jeżeli przejdziemy do tego zdania, że Białorusin naprz. jest tym autochtonem, to czy faktycznie ma on w swoim ręku siłę i środki do wynaradawiania innych narodowości — nie autochtonów? Fakty i rzeczywistość naga stwierdza, że państwo on nie posiada, zaś jako tubylec, tuziemiec, pierwotny mieszkaniec tego kraju ma przeciwko sobie wszystko i wszystkich, a więc: państwa obce, wyż-



szłość kultury i języków, rządy, politykę, Kościół Rzymski, Cerkiew rosyjską, szkolnictwo z systemem wynaradawiania go, wojsko, sądy, administrację, zubożenie ekonomiczne — ubóstwo materialne, itd. itd., czyli na każdym kroku spotyka się on z agresją innych, z hakatyzmem i szowinizmem obcych narodowości, chcących go zniszczyć w ogólności i wynarodowić, na co już i wyroki były zapadły. Więc gdzie jest ten nacjonalizm białoruski? Gdzie go widzi „Przegl. Wil.”? Przecież każdy Białorusin nie tylko że nie następuje, ale musi na każdym kroku się bronić od grożącej mu zagłady wogóle!

Wiemy i cały świat wie o tem, że wszelki nacjonalizm agresywny przetwarza się w szowinizm, w hakatyzm. Zaś nacjonalizm obronny — bez wszelkiej agresji, może być nawet uważany jako patryjotyzm — czyli miłość ojczyzny, gorące przywiązanie do kraju ojczystego. A przecież czysty patryjotyzm jest uświęcony w życiu każdej narodowości i jako taki jest uczuciem dodatniem! Jeżeli więc Białorusini, bronią się, — a zmuszeni są bronić się, od grożącej im zagładzie, istnieniu ich narodowości — przeciwstawiają czasem swój wyraźny patryjotyzm wobec agresji i wszelkich represyj, to w oczach ich wrogów, czy prześladowców, czy nieprzychylnych — jest już nacjonalizmem i starają się go zwalczać. Ładne przekręcenie faktów i pojęć! Niema co!

A że wobec Białorusinów samych stosowane są obecnie niesłychane represje, ucisk, prześladowania — ba nawet terror, to tego nie potrzeba tu udowodniać z faktami i dowodami lub dokumentami w rękę — każdy o tem doskonale wie i widzi — i redakcja również, zresztą miejsca tu na to niema, — nie wystarczy.

Dalej, w tym artykule autor powiada: „że nie tylko w Wilnie, ale i w całej Wileńszczyźnie, a nawet i dalej, wśród zwartej masy białoruskiej i litewskiej, znajduje się spory odsetek ludności, używającej mniej lub bardziej poprawnego języka pol., zaliczającej siebie świadomie lub nieświadomie do narodowości polskiej, która może być nazwana „tutejszą”, a w żaden jednak sposób białoruską lub litewską. Wiemy doskonale jaka to jest ludność! Jeżeli jej nie można nazwać ani białoruską, ani litewską, lub uważać za taką, to tembardziej nie można uważać i za polską! To jest ludność, uznająca tylko język państwowy — jakkolwiek będzie: rosyjski, czy polski, litewski lub inny. Ta ludność za czasów języka państwowego rosyjskiego uznawała siebie za Rosjan, teraz zaś za Polaków, bo teraz jest państwowy język polski, a gdyby był inny język państwowy, to i narodowość ich przybrałaby kameleonową szatę. Ta ludność uznaje prawo silniejszego. Zresztą wiemy przecież jaką rolę odgrywała w rusyfikacji cerkiew, a w polonizacji — kościół rzymski. I nawet przynależność do wyznania i narodowości nie usuwała znaczenia języka państwowego, bo z tego płynęły pewne korzyści materialne: posady, stanowiska itd. I teraz to się powtarza tak samo, jak do wojny. Nic więc dziwnego, że: „żadna propaganda narodowa czy to białoruska, czy litewska, nie znajdzie u niej wdziercznego pola do działania”, bo język państwowy jest inny! Znamy takich bardzo wielu i mamy w rękę dużo dowodów, że ta ludność jest egoistyczna, interesowna i bezideowa!

Dla tego też ta ludność do wojny była rosyjską, a teraz przerzuciła się na polską ze względów języ-

ka państwowego i nie przywiązuje wagi do narodowości, lecz tylko do korzyści\*).

Słowem p. Świaniewicz nie ma racji, jeżeli się dopatruje istnienia nacjonalizmu białoruskiego obok widocznego i jaskrawo istniejącego nacjonalizmu rosyjskiego, polskiego, a nawet litewskiego w stosunku do Białorusinów, bo i Litwa Kowieńska pokazała już swoją agresję względem Białorusinów, zamieszkałych w jej państwie, czego niedawno byliśmy świadkami!

Halewicz

(Przyp. Red.). W imię bezstronności zamieszczamy głos p. Halewicza, zarzucający nam tendencyjne oświetlenie pewnych momentów w ideologii narodowej białoruskiej, w której myśmy się dopatrzili pierwiastków nacjonalistycznych.

P. Halewicz do objawów nacjonalizmu zalicza jedynie wystąpienia strony panującej, Białorusini więc pozbawieni wszelkiej możności wynaradawiania, zdaniem autora, nie mogą być pomawiani o nacjonalizm. Nie jest to słuszne. Nikt nie będzie się spierał z p. Halewiczem, że Białorusini istotnie nie mogą w swoim ręku żadnych środków, któremi by mogli realizować program nacjonalistyczny, gdyby nawet go posiadali. Ale też w naszym artykule nie było mowy o faktach, o życiu realnem, lecz jedynie o poglądach teoretycznych, o aspiracjach i pragnieniach. Chcieć a móc — wbrew paradoksalnej maksymie francuskiej — są to dwie rzeczy różne.

Gdyby p. Halewicz dowiódł nam, że w publicystyce białoruskiej ani razu się nie ozwał głos, nacechowany zachłannością i wyłącznością narodową, to wtedy przyznałbyśmy mu rację. Tego tematu jednak p. Halewicz nie poruszył, zupełnie niepotrzebnie wylamując drzwi otwarte, rozwodząc się nad uciskiem ludności białoruskiej i opłakaną jej sytuacją. Polacy pod panowaniem rosyjskiem lub pruskim również ulegali prześladowaniom i represjom, co nie przeszkodziło, że w najcięższym właśnie okresie historii porzbirowej powstała teoria egoizmu narodowego, z której wyrósł cały kierunek narodowo-demokratyczny, propagujący skrajny nacjonalizm.

Co się tyczy ludności „tutejszej”, którą p. Halewicz pogardliwie traktuje, jako zupełnie bezideową i ulegającą jedynie popędowi niewybrednego oportunisty, to jest również w grubym błędzie i swą powierzchowną charakterystyką składa dowód, że nie zna zupełnie tego odłamu ludności. Ludność ta w wielu wypadkach przeciwnie wykazała wysoki poziom ideowy, chociażby stawiając mężny opór próbom nawracania jej na prawosławie (ekspedycja karna Chowańskiego w Rukojniach!) a będąc katolicką nigdy nie przyznawała się do narodowości rosyjskiej!

Rozumiemy zupełnie dobrze rozgoryczenie i przeczuloną drażliwość p. Halewicza, lecz — *amicus Plato, sed magis amica veritas!*

\* I czyż nie jest tragicznem, że niektórzy z tej właśnie kategorii mają odwagę i po prostu czelność zarzucać patryjotom białorusom, którzy bronią odrodzenia narodu białoruskiego, — wszystko to, czem tchną sami — jakiś egoizm, interesowność, chęć zdobycia sobie przyszłych korzyści, stanowisk, osobistych interesów t. p. materialne pobudki! Ten odłam nie ogranicza się do nazywania patryjotyzmu białoruskiego nacjonalizmem, lecz po prostu dążeniem do zapewnienia sobie w przyszłości osobistych jakichś korzyści.



## Obrońca chłopów białoruskich w w. XVI.

(Notatka historyczna).

W pokłosiu bibliograficznym, na końcu cennego studjum Stanisława Kota z dziejów kultury polskiej w. XVI: *Andrzej Frycz Modrzewski* (Kraków 1919), znajdujemy notatkę, poświęconą osobie Wawrzyńca Krzyszkowskiego.

Któż to był ów Krzyszkowski?

O przeszłości Wawrz. Krzyszkowskiego wiemy niewiele. Tyle tylko że był to dawny scholar królewiecki, który w Królewcu nałykał się nowinek. Czas pewien mieszkał w Wilnie, a jako wybitny arjanin — został ministrem zboru w Nieświeżu.

Według Brücknera, Wawrzyniec Krzyszkowski był to pierwszy pisarz arjański, który zaczął nazywać swoich współwyznawców *chrystjanami* (nazwę chrześcijan, jako pochodną od chrzest odrzucono). Inowacja ta, jak też *pokajanie* zamiast pokuty, znalazły się w jego tłumaczeniu rozmowy św. Justyna (1564 r.). Naogół minister zboru nieświeskiego w zwalczaniu katolickiego chrztu niemowląt i w propagandzie chrztu dorosłych wierzących i kajających się odegrał rolę niepoślednią. Współpracował w tem i korespondował z wybitnym nowinkarzem podlaskim, Piotrem z-Goniądza. Zdolności literackie wysunęły go ze strony arjan na sekretarza obrad toczonych w Skrzynnie.

Współ z Symonem Budnym, znanym nowinkarzem białoruskim, Krzyszkowski wydał w Nieświeżu r. 1562: „Katichis, to jest' nauka starodawnaja chrystijanskaja ot swietoho pisma, dla prostych ludiej jazyka ruskoho w pytanijach i otkaziech sobrana”. Mówi o tem W. Łastowski w „Historii białoruskiej (krywickiej) kniżi”.

O jego poglądach społecznych wiemy coś nieco dzięki głosom marginesowym, jakie zostawił zwyczajem ówczesnym na książce „*Commentarii de re publica emendanda*” (Bazyleja. 1554). Już na kartce tytułowej czytamy taką inskrypcję: *Vita mihi Christus, mors mihi dulce lucrum — Laurentius Criscovius*.

Wywody Frycza w obronie chłopów spotkały się z uznaniem Krzyszkowskiego, któremu dał wyraz w tego rodzaju uwagach (dajemy je w przekładzie dosłownym z łaciny):

„Uczciwy a chrześcijański stosunek pewnego szlachcica bawarskiego względem swego włościanina, jako przykład do naśladowania, podany naszej szlachcie”. W innym znowu miejscu: „Po starannem rozważeniu i zbadaniu tego, staje się jasnym, skąd powstała taka tyranja (*tanta Nobilium in colonos tyrannis*) szlachty względem włościan”. „Na Litwie i Rusi straszne niewolnictwo poddanych” (*horrenda subditorum servitus*). „Życie włościan niczem się nie różni od życia niewolników”. To niewolnictwo kmiotków (*cmethones*) w W. Ks. Litewskim nazywa Krzyszkowski *plus quam aegyptiaca!* „Kmiotowie są niczem innem jeno sługami wieczystemi”. Naogół te i inne notatki, rozsiane po marginesach całego dzieła Frycza, świadczą niedwuznacznie, jak żywo reagował nasz reformator na współczesne krzywdy społeczne.

Niestety, będąc tylko tłumaczem, nie miał możliwości swych poglądów postępowych ująć w formę utworu oryginalnego.

Zmarł w r. 1573.

Erka.

## Z mego notatnika.

Import poznański.

Przed paru tygodniami teatr polski w Wilnie stał się widownią oryginalnego zajścia. Gdy na scenie śpiewano „Rotę” Konopnickiej, a publiczność powstała z miejsc, p. Piotrowicz, recenzent teatralny „Kurjera Wileńskiego” nie poszedł za przykładem sąsiadów, co wywołało okrzyk ze strony jakiegoś krewkiego „patrjoty”: „wstać, jedź pan do bolszewji!”

P. Piotrowicz nie znalazł się w kropce i nie odpowiedział spokojnie „a pan jedź do Poznania!”, natomiast poruszył w prasie kwestję zasadniczą, czy jest obowiązkiem wstawać podczas śpiewania „Roty”, czy też nie, a „Słowo” rozpiśało nawet ankietę na ten temat.

Kilkunastu notabli wileńskich — jak się wyraża „Słowo” — wypowiedziało swój pogląd co do wartości i znaczenia tej pieśni. Jednemu nie podobają się słowa, lecz wzrusza go melodia, drugiego oburzają i tekst i muzyka, inny zaś chciałby tylko usunąć zwrotkę o pluciu w twarz, natomiast jest za tem, by „Rotę” śpiewano na zebraniach, gdzie „audytoryum składa się z ludu” (?). Nikt jednak z zapytywanych notabli wileńskich nie zwrócił uwagi na to, że pieśń ta na naszym gruncie absolutnie nie ma żadnego sensu.

Bo zastanówmy się tylko. Rozlegają się uroczyście słowa: „Nie będzie Niemiec pluł nam w twarz, ni dzieci nam germanił”. Ależ oczywiście! Gdyby nie okupacja niemiecka, to ludność miejscowa nie wiedziałaby nawet, jak Niemiec wygląda, obawa zaś przed germanizacją dzieci i do głowy nikomu nie przychodzi. Dalej: „nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy, polski my naród, polski my lud, królewski szczep Piastowy”. Zapewnienie wysoce problematyczne. Jakże wielu z tych, których ród pochodzi z Kowieńszczyzny i Mińszczyzny rzuciło już swą ziemię, a niech no bolszewicy pokażą się w Wilnie zobaczymy, ilu śpiewających z emfazą tę strofkę pozostanie na miejscu! Wyrażenie „Szczipiastowy” na ziemiach stanowiących odwieczne dziedzictwo Jagiellonów brzmi już zupełnie komicznie. Tylko senator Krzyżanowski i minister Staniewicz zaliczali siebie przed kilku laty do „Piasta”, ale i ci już obecnie nie chcą mieć z nim nic wspólnego, szeroki zaś ogół miejscowy, pochodzenia niemal bez wyjątku litewskiego lub białoruskiego, przyznający się do pokrewieństwa z kołodziejem z pod Kruszewicy, zdradza jedynie nieznamość genealogji i ośmiesza siebie, tak jak ośmieszali siebie seminarzyści prawosławni w Wilnie, śpiewający przed paru laty „Rotę” na popisie dorocznym.

Z równą, a nawet większą — ze względu na legendę o Palemonie — słusnością moglibyśmy twierdzić np. *cives Romani sumus...*

Słowem należałoby zaprzestać śpiewania u nas „Roty” nie dlatego, że słowa jej nie odpowiadają mocarstwowym aspiracjom narodu polskiego, lecz poprostu dlatego, że jest to pieśń o charakterze wyraźnie dzielnicowym, brzmiąca wszędzie poza dawnym zaborem pruskim, a tembardziej na ziemiach litewsko-białoruskich — fałszywie i obco.

Dwaj zaś panowie demokracji wileńscy: Zygmunt Nagrodzki i Ludwik Chomiński, którym, jak się okazuje, zawdzięcza Wilno, że codzień musi słu-



chać z wieży katedralnej tej płacziwej melodji, by usprawiedliwić swą inicjatywę, powinni czempredzej zapisać się do „Piasta“, lub jeżeli istotnie pałają taką nienawiścią do Niemców, przenieść się do Poznania i tam walczyć z zalewem germanizacyjnym.

Mamy już dość naleciałości galicyjskich i poznańskich.

Licz.

## Piszą do nas.

### O białoruskich przekładach Pisma św.

Przed ukazaniem się w druku białoruskich kazań ks. dr. Ild. Bobicza, endecja duchowna w Wilnie ważyła się lekkomyślnie a złośliwie twierdzić, że żadną miarą nie można pozwolić, by łącznie z kazaniem powyższemi ukazały się w mowie białoruskiej poprzedzające ich teksty ewangelij niedzielnych. Bezpodstawność tych pretensyj, mających właściwie na celu utrudnienie tylko rozszerzenia praw języka białoruskiego na terenie kościelnym, była oczywistą. Próbowano nawet wpłynąć w tym kierunku na biskupa Matulewicza, wysuwając wobec niego jako argument, że najwyższe autorytety biblijne w Polsce są akurat tegoż zdania, co i gorliwcy endecy w Wilnie. Podobno zwracano się wtedy do prof. nauk biblijnych na uniw. warsz. ks. Szczepańskiego T. J. Mimo wszystko kazania ks. Bobicza wyszły z druku zaopatrzone w lokalną aprobatę duchowną i spełniają swą służbę, cennie nawet przez niektórych księży Polaków za ich piękną treść i poprawną formę.

Sprawa powyższa przedstawia się jednak interesująco ze strony zasadniczej. Przecież, gdy pracujący niegdyś w Wilnie Skarga i Wujek pisali swoje style czy pierwsze kazania, też nie było jeszcze zatwierdzonego przez Kościół przekładu biblij, jednak nie mieli oni w swej zbożnej pracy wcale trudności. Również nikt im nikt nie przeszkadzał tłumaczyć i cytować tekstów po polsku. Są na świecie narody, które mają już literaturę swoją, chociaż potwierdzonego przekładu biblij dotąd jeszcze nie posiadają. Tylko idjota, albo zaciętrzewiony nacjonalista może przeszkadzać lub złośliwie krytykować użycie tekstu Piśma św. w druku w języku, nie posiadającym jeszcze potwierdzonego przekładu! Rosjanie też nie mają takiego przekładu (potwierdzonego przez Kościół katolicki), jednak szeroko a chlubnie znany polski unjonista, o. Jan Urban T. J. nie miał żadnych skrupułów wcielając do swego modlitewnika dla Rosjan katolików p. t. *Gospodu pomolimsia!* już nie tylko teksty poszczególne, ale całe nawet psalmy, i tę książkę biskupi katolicy potwierdzili, i nikt nie protestował.

W tej płaszczyźnie ujęta sprawa przekładu Piśma św. na język białoruski ma za sobą tak pewne a katolickie podstawy prawne, że dziś nikt rozumny nie ośmieli się już kwestjonować jej słuszności.

X. N. M.

## Przeгляд prasy żydowskiej.

Dnia 14 b. m. Związek rzemieślników żydowskich w Wilnie uroczysto obchodził dziesięcioletni jubileusz swojej działalności. W artykule poświęconym temu jubileuszowi pisze wileński „Cajt“ w Nr. 280 między innymi, co następuje:

„społeczeństwo żydowskie w przeważającej swej części przejęte jest myślą, że w przerwaniu się od zawodu pośrednika i kupca, do rzemiosła, pracy, rolnictwa jest jedyny jego ratunek, jeżeli chce ostać się jako naród“, a zastanawiając się nad tem, czem rzemieślnik żydowski był i czym jest obecnie w życiu żydowskiem naszego kraju pisze „Cajt“ dalej:

„rzemieślnik jest teraz wszędzie mile widzianym gościem, nieraz staje on na czele społeczności żydowskiej, do której wnosi pierwiastki rzeczowości, praktyczności i demokracji“.

Zadania zaś żydowskiego stanu rzemieślniczego określa „Cajt“ w sposób następujący:

„niech rzemieślnik żydowski dba o to, by pozostawił po sobie następców, dobrych następców, wykształconych według nowoczesnych wymagań, niech nie dopuści do tego, by całe farchy zanikały u Żydów, niech ułatwi dostęp młodzieży do rzemiosła i jego naukę uczyni bardziej nowoczesną“.

Przewodniczący Związku rzemieślników otwierając uroczystą akademię jubileuszową wniósł między innymi okrzyk, przywitany przez licznie zgromadzonych uczestników hucznymi oklaskami: „niech żyje nasz kraj, niech żyje nasze miasto, niech żyje stan rzemieślniczy“.

Na uroczystej akademii zabierali głos licznie zebrani reprezentanci całego społeczeństwa żydowskiego. W przemówieniach tych podkreślano radosne momenty uroczystości, ale nieraz zwracano uwagę na nader ciężkie warunki bytowania żydowskiego rzemieślnika i jego upośledzenie oraz ciągłe usiłowania ograniczenia jego praw i możliwości pracy. Między innymi, jak podaje „Cajt“, poseł dr. Wygodzki oświadczył:

„miejmy nadzieję, że tak jak nastąpił renesans rzemiosła żydowskiego, tak też i władze nasze przyjdą do przekonania, że tylko zdrowa i uczciwa konkurencja, (a nie uprzywilejowanie jednych i upośledzenie drugich), jest warunkiem rozkwitu rzemiosła wogóle“

inny zaś mówca podkreślił między innymi, że:

„musi jednak zaniknąć zupełnie ten okropny stosunek otoczenia nie żydowskiego względem rzemiosła żydowskiego — wtedy święto rzemieślników będzie powszechnym świętem“.

Z okazji dziesięcioletniego jubileuszu swej pracy Związek rzemieślników żydowskich w Wilnie wydał specjalną publikację, w której znajdujemy przegląd dokonanych przez Związek prac, sprawozdania z działalności komisji i sekcji fachowych Związku oraz liczne artykuły wybitnych działaczy społecznych żydowskich, dotyczące najrozmaitszych zagadnień związanych z rzemiosłem żydowskim.

Ego.

## Bibliografja.

Józef Jodkowski. *Grodzisko Wołkowyskie*. Grodno 1925. Str. 42 z 18 ilustr.

Młody jeszcze, niezmiernie pracowity a ruchliwy kustosz Muzeum państwowego w Grodnie, p. Jodkowski, z tytułu konserwatora województwa Białostockiego, swem zainteresowaniem historycznym obejmuje nie tylko swój gród rodzinny, ale i całą niemal Grodzieńszczyznę. Będąc może w większym stopniu archeologiem, niż badaczem dziejów historycznych, p. Jodkowski, stworzywszy wprost z niczego Muzeum w Grodnie i wydawszy monografię grodu Batorowego, znalazł czas i zapał dla badań archeologicznych tuż pod Wołkowyskiem, gdzie uwagę jego przykuwała nie od wczoraj t. zw. Szwedzka góra. Jej to



monografię zapoczątkował p. Jodkowski wydaniem książki omawianej.

„Grodzisko Wołkowyskie” jednocześnie daje czytelnikowi niemało materiałów do dziejów Wołkowyska, jednego z najstarszych grodów zamkowych W. Ks Lit. Temat swój rozwija p. J. począwszy od legend, dotyczących Wołkowyska i jego grodziska. Autor sięgnął tu do M. Fedorowskiego, by wynotować zeń i przytoczyć nawet po białorusku baśń ludową. Dalej tłumaczy pochodzenie nazwy Wołkowyska, nie podkreślając jednak dostatecznie, że najprawdopodobniej pochodzi ona od miejscowej rzeczki *Wołkowyja*. Nie podał autor, że według Aleksandra Połujańskiego, autora b. cennych wędrówek po gubernji Augustowskiej, nazwa tej rzeczki pochodzi swoją drogą nie od *wilków wycia*, jakby w pewnej chwili zdawać się mogło, lecz od litewskiego *vilka veaja*—wilka gonia! Naogół może za wiele naraz zebrał tu p. J. podać, czem naruszył w swej pracy zasadę dobrej proporcji, szczególnie ważną w naracji historycznej.

Względem śladów żywiołu litewskiego, który ongiś niezawodnie tu siedział, p. Jodkowski jest wyjątkowo poprawny, skrupulatnie podając źródłowość litewskie w nazwach rzek. Tylko napewno słowa litewskie: *opa* (rana) i *opus* (bolesny, drażliwy) nic nie mają wspólnego z podwołkowyską Nietupą. Niekiedy archeologiczne nastawienie unosi p. J. zbyt daleko i czujemy grząski grunt przeroźnych jego mitologicznych dociekań. Że tak mało dziś wiemy o Jadźwingach, przypisać należy gruntownemu ich wytypowaniu w naszym kraju i małemu uwzględnieniu przez piszących folkloru litewskiego, często tak dobrze, jak nieznanego.

Mylił się historyk Szwedzkiej góry, gdy mówi, że na cmentarzu wołkowyskim nie dochowała się kaplica, albo że obraz łaskami (nie cudami!) słynący M. B. Miedzyrzeckiej dotąd przebywa w farze wołkowyskiej, gdyż jeszcze przed wojną zwrócono go według przynależności.

Tym razem autor w swej pracy szeroko uwzględnił doniosłe wyniki badań Krzywickiego i in. nad pilekalniami. Wielce to rozświetliło sprawę. Oczywiście, góra ta od początku nie nazywała się Szwedzką i jest bez porównania starszej daty, niż najazd szwedzki. Co do jej przeznaczenia, to zbyt wydaje się ona małą, by mogła służyć *pleno iure* za zamczysko obronne. Czy nie pełniła zato innych funkcji, np jako miejsce do sygnalizowania nadchodzącego wroga? Naogół jako punkt obserwacyjny?..

Był u nas w XVIII w. zakon żeński Marjawitek a nie Marjanitek. Autor zaniedbał zajrzeć do archiwum kościelnego w Wołkowysku, gdzie się znajdzie niejeden cenny szczegół do interesującej go topografii dawnego Wołkowyska. Ścisłość nakazywała by mu przy opisie Szwedzkiej góry nadmienić, że do wojny stał na niej samotny grobowiec jakiegoś samobójcy, który tu właśnie z życiem się pożegnał...

Monografia opracowana b. starannie. Podobizny obfite i wykonane poprawnie, plany — precyzyjnie. Podobno p. J. chce jeszcze raz zabrać głos o grodzisku Wołkowyskiem, by się podzielić z ogółem najnowszymi nad niem badaniami. Czekamy z zainteresowaniem.

Gardiner

## KRONIKA.

**Jezuici białoruscy.** Jezuici, działający na gruncie wileńskim zaznaczyli się wybitnie, zdaje się, bez wyjątku jako skrajni nacjonalisci, Bliskie spółzycie z ostawioną Ligą św. Kazimierza, kierowaną przez p. Obsta, nie mogło nie oddziaływać fatalnie na ich psychikę. Znana jednak giętkość i wszechstronność tego zakonu nie pozwoliła mu zasklepić się w ciasnych ramach endeckiego światopoglądu. W Albertynie pod Stonimem powstała nowa gałąź T-wa pracująca w obrędku wschodnim i mająca posługiwać się szeroko między innymi językiem białoruskim. W powstającym w najbliższym czasie nowicjacie kandydaci z pośród Białorusinów-katolików z tego względu będą szczególnie mile widziani.

**Niespodzianka.** Ten sam „Dziennik Wileński” który, w każdym niemal numerze piorunuje na bezczynność rządu wobec coraz bardziej wzmagającej się agitacji „Białor. Hramady”, w Nr. 285 zamieszcza obszerny artykuł, stwierdzający, że akcja „Hramady” wywołała efekt nieoczekiwany, mianowicie obudzenie się z letargu miejscowej ludności polskiej i gremjalny, wprost żywiołowy napływ nowych członków do polskiej organizacji kulturalno-oświatowych. Autor artykułu wyraża nawet nadzieję, że „w miarę rozwoju wrogiej akcji rosnąć będzie również uświadomienie i instynkt społeczny i państwowy tej ludności...”.

Więc czyż „Dziennik Wil.” nie powinien się raczej cieszyć z działalności „Hramady”?

**Wizyta p. Nowaczyńskiego w Kownie.** Wygłoszony przez p. A. Nowaczyńskiego d. 12 b. m. w Wilnie odczyt p. t. „Moja wizyta w Kownie” zgromadził dużo słuchaczy, ale bodaj nikogo nie zadowolnił. Publiczność endecka oczekiwała od słynnego pamflicisty dowcipów i zjadliwych wycieczek pod adresem „berlińsko-moskiewskiej ekspozytury” i zawiodła się, ponieważ tym razem sowiźdrzał warszawski usiłował być rzeczowym i bezstronnym. Nie o tyle jednakże, by wybyć się całkowicie właściwego mu tonu facecjonisty. Nikt też wywodów prelegenta poważnie nie traktował. Zresztą odczyt nie zawierał niczego nowego, poza tem, co już w roku zeszłym drukowała „Gazeta Warszawska”.

**Nowe pisma.** Wkrótce zaczną wychodzić nowe pismo w języku litewskim p. t. „Vilniaus Varpas” o kierunku chrześcijańskim

Ukazał się № 1 dwutygodnika białoruskiego, drukowanego czcionkami łacińskimi p. t. „Narodny Zwon”. Jak można sądzić z treści, jest to wydawnictwo o tej samej grupie, która wydaje już „Narodnuju Sprawu”, „Narodny Zwon” będzie konkurował z „Krynicą”, organem białoruskiej chadecji.

**Aresztowanie Fr. Olechnowicza.** Znany dramaturg białoruski Franciszek Olechnowicz, który niedawno wyjechał z Wilna do Mińska za paszportem legalnym, jak donoszą pisma polskie, został aresztowany przez władze sowieckie. Wiadomość ta wymaga jeszcze potwierdzenia.

**Jeszcze jedna rocznica.** Dn. 12 grudnia b. r. minęło 25 lat od chwili oddania kościoła św. Mikołaja w Wilnie do użytku ludności litewskiej. Wądnemu tym zostało odprawione solenne nabożeństwo, poczem proboszcz ks. Czibiras podejmował przed-tawicielei miejscowego społeczeństwa litewskiego obiadem, podczas którego wygłoszono szereg przemówień.

## Od Administracji.

*Prosimy o wczesne nadsyłanie prenumeraty na rok przyszły—1927, celem umożliwienia nam unormowania nakładu.*

*Prosimy również uprzejmie wszystkich zalegających w opłacie za czas ubiegły o uiszczenie należności.*

**Treść numeru.** Choroba wieku.—D. D. Bochan. O mniejszość rosyjską.—Religja na usługach polityki.—Halewicz. Analiza rzeczywistości.—Erka. Obronca chłopów białoruskich w XVI w.—Licz. Z mego notatnika—X. N. M. O przekładach Pisma św. na język białoruski.—Ego. Przegląd prasy żydowskiej. Bibliografja.—Kronika.